

Anna Borowska, *Umierasz – wyszeptał wiatr*

Każdej nocy budziłam się chyba z milion razy. Zawsze bardziej zmęczona, niż byłam, kładąc się spać. To mnie wykańczało, każdy miesiąc mojego ciała bolał, domagając się upragnionego wypoczynku. Oddech z każdym dniem stawał się coraz płytszy. Przekrwione, kiedyś nawet ładne, oczy, okalały fioletowo-czarne, głębokie cienie. Czułam się, jakbym postarzała się o dwadzieścia lat w przeciągu zaledwie tygodnia. Chciałam spać. Tak bardzo chciałam spać, ale nie mogłam. Za każdym razem, kiedy udało mi się odpłynąć do krainy Morfeusza, śniły mi się koszmary. Nie. Nawet nie koszmary. To były sny. Sny tak intensywne, że męczące bardziej niż jawa. Zawsze tak samo realne i zawsze pozostawiające mnie z tym dziwnym, krępującym uciskiem w brzuchu.

Widziałam w nich mężczyznę. Miał oczy w kolorze żywej czerni. Zdawało się, że jeśli będzie się w nie patrzeć chwilę zadługo, nie trudno będzie wpaść przez nie do króliczej nory. Nie tylko wpaść, a zostać tam na zawsze.

Czasami wirował w tańcu, a może w walce? Nie wiem. Jego ślepieja za bardzo mnie rozpraszały, bym mogła się upewnić. Czasami siedział w jakimś niemożliwym do zidentyfikowania, ciemnym miejscu. Czasami z kimś rozmawiał, ale niezależnie od tego jak bardzo wytężałam słuch, nie byłam w stanie zrozumieć słów wychodzących z jego ust. Nie rozumiałam tutaj zresztą niczego. Wszystko to było tak niejasne, że zdawało się być zasnute grubą płachtą szarej mgły.

Tej nocy jednak sen wyglądał inaczej. Mgła opadła w dół, odsłaniając wyblakłą i wychudzoną, a jednak wciąż na swój sposób piękną twarz mężczyzny. Świeciły na niej pustką dwie czarne królicze nory. Mężczyzna siedział w pustym barze, na wysokim stołku. W ręku trzymał kieliszek wypełniony jakimś wyglądającym na drogi trunkiem. Przedramię, pokryte lśniącoymi tatuażami opierał niechłujnie na brzegu stołu. Wszędzie wkoło panowała ciemność, a jednak bez trudu dostrzegałam każdą rysę malującą się na jego twarzy.

Czarnooki zawiesił wzrok na swoim nadgarstku, jakby szukając, nieobecnego na nim zegarka. Odruchowo spojrzałam w dół na swój własny i odczytałam na głos godzinę. Moje słowa zawisły w powietrzu, brzmiąc dźwięcznym echem, tylko po to, aby po chwili zniknąć niepostrzeżenie w nicości.

– Cerseis – usłyszałam i wzdrygnęłam się słysząc ten dźwięczny tenor. – Długo kazałaś mi na siebie czekać.

Przez chwilę myślałam, że czarnooki mówi do mnie, toteż na parę sekund całkowicie straciłam zdolność oddychania. Powróciła do mnie, gdy zobaczyłam, że w międzyczasie nie wiadomo skąd między mną a mężczyzną zmaterializowała się wychudzona kobieta w kwiecie wieku. Dziwne szaty, które miała na sobie,

zdawały się być na nią o kilka numerówów za duże. Gdy spojrzałam w jej twarz, na myśl przyszło mi tylko jedno słowo – żmija.

– Musisz nauczyć się cierpliwości chłopcze – syknęła kobieta, uzbrajając twarz w chłodny uśmiech. – Co cię sprowadza w moje skromne progi?

Zadała pytanie, po czym usadowiła się z widoczną niechęcią na stołku obok czarnookiego.

– Przecież dobrze wiesz – powiedział, rozglądając się dookoła, jakby w poszukiwaniu ciekawskich uszu. – Coś się szykuje, Cerseis, widzę to w gwiazdach.

– Widzisz to w gwiazdach – Zakpiła kobieta, co słowo robiąc pauzę.

– Nie udawaj głupiej, Cerseis – warknął czarnooki. – Cała nasza magia się na nich opiera.

– Opierała – sprostowała żmija. – Cała nasza magia się na nich opierała.

Tym razem to ona rozejrzała się dookoła, jakby wyczuwając czyjaś obecność.

– Ale gwiazdy umilkły już dawno temu Aleksandrze – uśmiechnęła się. – Umilkły, gdy wszyscy nasi wrogowie zginęli.

– Możesz sobie wierzyć w swoje bajki, Cereis, możesz sobie wierzyć, że gwiazdy zamilkły na zawsze – przerwał na chwilę, biorąc głęboki oddech. – Ale to nie zmieni tego, że gwiazdy znów do nas mówią, a to znaczy, że oni wrócili.

– Oni, nie wrócili! – wycedziła żmija przez zaciśnięte zęby, zrywając się na równe nogi.

– O tak – uśmiechnął się zimno, idąc w jej ślady i podnosząc się powoli ze stołka. – Wrócili, a kiedy po ciebie przyjdą, pomnisz na moje słowa.

Kobieta, wyglądała, jakby miała zaraz eksplodować, jej wąskie oczy przepelnione strachem i gniewem ciskały w niego srebrzyste błyskawice, usta zacisnęła w cieką linię, a poplątane włosy przypominały węże. Uniosła do góry lewą dłoń, a ja zamarłam z przerażenia. Z jej palców wyskoczyła minitrąba powietrzna, odpychając czarnookiego do tyłu i rzucając nim o ścianę. Opadł na posadzkę. Kiedy wstał włosy i palce pokryte miał czerwoną mazią. Odór krwi wypełnił całe pomieszczenie. Mężczyzna powoli podniósł się z ziemi, a jego i tak naturalnie przerażające oczy ziały teraz żywym ogniem.

– Zabiłbym Cię tu i teraz, Cerseis – wycedził. – Ale wierzę, że prędzej czy później się opamiętasz i jeszcze mi się na coś przydasz.

Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi, których wcześniej nie zauważyłam. Miałam wrażenie, że zmaterializowały się tam na jego żądanie.

– A i jeszcze jedno – rzucił przez ramię – coś ci się pali na zapleczu.

W tym momencie dotarł do mnie zapach dymu, natychmiast zaczęłam się krztusić, nie będąc w stanie oddychać. W płucach wirowały mi wszechobecne toksyny. Krew i gaz mieszały się ze sobą, tworząc duszącą mieszankę.

Obudziłam się nagle i gwałtownie usiadłam na łóżku, łapiąc się za gardło. Kaszlałam nieprzerwanie, przez parę dobrych sekund, nim udało mi się na powrót dojść do siebie. To wszystko było szalone, zaczynałam się naprawdę o siebie martwić i zastanawiać, co do cholery jest ze mną nie tak? A jeżeli coś rzeczywiście jest nie tak, to czy tym, co nawala i ewidentnie działa źle, jest moje ciało czy też moja psychika?

Podniosłam się z łóżka. Próbowałam się nie chwiać, choć byłam tak wycieńczona, że nie było to wcale łatwe. Stanęłam przed lustrem, oglądając uważnie całe moje ciało. Zaczęłam od zapadłej twarzy, zmęczonych oczu, popłątanych kłaków. Miałam wrażenie, że skórę pokrywają zmarszczki, a kasztanowe włosy przyprószone są siwizną. Zrzuciłam z ramion filetowy szlafrok i poczęłam oglądać swoje ciało. Niegdyś jędrne, zdawało się teraz sflaczałe i nieładne. Starzałam się naprawdę, czy też były to omamy wzrokowe zmęczonego człowieka?

Stanęłam przed sztalugą. Na płótnie stała zamarła w bezruchu postać wysokiego bruneta, któremu nie zdążyłam domalować jednej nogi. Od tygodni nie byłam w stanie dokończyć obrazu. Nie byłam pewna, czy dam radę chociażby utrzymać w ręku pędzel. Odstawiłam na bok niedokończone dzieło i zaczęłam tworzyć coś nowego. Uniosłam ostrożnie ołówek i poczęłam kreślić linie o różnej intensywności i o różnych kształtach. W tym momencie udało mi się na chwilę zapomnieć o zmęczeniu i o drżących dłoniach. Rysowałam, tworzyłam, wylewałam duszę na papier. Nie wiem, ile czasu minęło, wiem tylko, że gdy skończyłam i zmęczona osunęłam się na fotel, a ze sztalugi patrzył na mnie czarnooki mężczyzna.

– Kim jesteś? – zapytałam portret. – Czego ode mnie chcesz?

Ułożyłam głowę w dłoniach. Była zbyt ciężka, by mój słaby kręgosłup mógł ją utrzymać. Coś niemilosiernie ciągnęło mnie w krzyżu.

– Co ja wyrabiam? – zapytałam tym razem samą siebie. – Co się ze mną dzieje?

Miałam ochotę się rozplakać, ale nawet na to nie miałam siły. Podniosłam wzrok i rozejrzałam się po pokoju. Wskazówki zegara zdawały się śpiewać u-mie-rasz tykając. Wiatr za oknem szumiał słowa umierasz, umierasz, umierasz. Zatkłam uszy i poczęłam gorączkowo kręcić głową. Cytat Ernesta Hemingwaya

na ścianie nagle zdawał się mówić "Umierasz, umierasz, umierasz." Zaciśnęłam powieki, ale i to nie pomogło bo przed oczami miałam twarz nawiedzającego mnie w snach mężczyzny.

Łzy w końcu nadeszły, całe morze słonych łez. Przyjęłam je z ulgą. Wstałam z trudem z kanapy, podeszłam do kuchennego zlewu i zanurzyłam twarz pod wodą. Poczułam przyjemny chłód otaczający moją skórę. Szum wody zagłuszył prześladowające mnie słowa.

– To tylko omamy – mruknęłam do siebie. – Jesteś przerażona i widzisz rzeczy, które nie istnieją.

Zapaliłam wszystkie światła, choć na dworze już dawno wzeszło słońce, a pokój wychodzący na wschód był mocno oświetlony. Potrzebowałam dużo światła, żeby stłumić dręczące mnie, ponure wizje. Usiadłam na fotelu, biorąc telefon do ręki. Chciałam do kogoś zadzwonić, ale nie miałam pojęcia, do kogo i co miałabym powiedzieć? „Cześć, mam, dzwonię, żeby powiedzieć ci, że starzeję się w oka mgnieniu, snię mi się zdecydowanie zbyt realistyczne koszmary, a za tydzień będę pewnie gryzła glebę”?

Wykręciłam numer do przychodni. Miałam cichą nadzieję, że to wszystko to po prostu jakaś tajemnicza choroba spowodowana skandalicznie wysokim poziomem smogu. Miałam nadzieję, że wezmę parę podejrzanie wyglądających, czerwono-białych pigułek i wszystko wróci do normy. Znów będą to zabawna, słodka dziewczyną, z którą każdy chce się przyjaźnić. Znów będę tą najbardziej utalentowaną studentką na roku. Znów będę dziewczyną dla której niegdyś głowę stracił nawet przystojny i kokieterijny Krzysztof Linder, którego pragnęły wszystkie dziewczyny. Uśmiechnęłam się na myśl o blondynie ze słodkimi dołeczkami w policzkach. Zastanowiłam się co teraz robi? Może stoi ze swoją, zawsze umorusaną farbą sztalugą na placu Trocadero i maluje majestatyczną wieżę Eiffla? Zawsze lubił rysować takie oklepane miejsca.

Może dobrze, że w końcu nie wzięliśmy ślubu na schodach Hiszpańskich, tak jak planowaliśmy. Głupio byłoby umrzeć ze starości w wieku dwudziestu pięciu lat, mając takiego mężczyznę. Zamrugalam intensywnie oczami, zastanawiając się o czym ja właściwie rozmyślam.

– Nie umierasz – powtórzyłam sobie dobitnie.

– Umierasz – sprostował cicho wiatr.

Sekretarka po drugiej stronie słuchawki powiadomiła mnie, że jestem druga w kolejce. Gdy skończyła mówić odezwał się marsz pogrzebowy Chopina. „Nie mają już czego puszczać w tych poczekalniach”, pomyślałam oburzona.

– Halo, dzień dobry – odezwał się damski głos w słuchawce, przywołując mnie do porządku i wrywając

ze stanu ogólnej stagnacji. – Tutaj lecznica doktora Brodzkiego, w czym mogę pomóc?

– Hmm... dzień dobry – odchrząknęłam. – Chciałabym umówić się na wizytę, myślę że jestem na coś hmm... chora.

– Mogę umówić panią na za tydzień – wykrzyknęła kobieta radosnym głosem.

W tej chwili zdecydowanie nie miałam ochoty na kontakty z wesołymi ludźmi, sama byłam raczej po przeciwnej stronie mocy.

– Przepraszam, ale to raczej... coś poważnego – nie mogłam pozbyć się suchości w gardle. – Nie dałoby się znaleźć jakiegoś wcześniejszego terminu?

– Ech, no dobrze – kobieta straciła trochę entuzjazmu, co za specjalnie mnie nie zabolalo. – Mogę wcisnąć panią na dzisiejszy wieczór.

Podalam sekretarce moje nazwisko i zbierając się na odrobinę uprzejmości serdecznie podziękowałam. Po krótkiej rozmowie telefonicznej, czułam się jak po przebiegnięciu co najmniej maratonu. Migrena, która nigdy wcześniej mi się nie dokuczała, męczyła mnie okrutnie, wywołując mdłości.

– Umierasz – szepnął znów wiatr.

– Zamknij się! – krzyknęłam w powietrze.

„Ja chyba naprawdę oszalałam” – pomyślałam, chowając twarz w dłoniach.

Siedziałam na twardym, białym krześle w poczekalni. Kreśliłam ołówkiem linie w szkicowniku, który wciąż nosił na sobie pamiątki po szklance herbaty, którą piłam jakiś miesiąc temu. Raz po raz rysowałam tę samą postać. Czarnooki siedzący przy barze. Czarnooki leżący pod ścianą. Czarnooki wynurzający się z kłębow dymu.

Zawsze mówiono mi, że umiem odwzorowywać twarze jak nikt inny, że rysy które buduje są wyjątkowo realistyczne i zgodne z pierwowzorem. „Będiesz wielką artystką” – mówili wszyscy – „To czysty talent”.

Zabawne jak nam wszystkim wydaje się, że będziemy żyć wiecznie, że jesteśmy młodzi i pełni sił, a tu nagle puff, wszystko się kończy. Włosy stają się siwe, zmarszczki przyozdabiają czoło, zaćma przysłania oczy.

Staruszka siedząca naprzeciwko uśmiechnęła się do mnie lekko. Chciałam oddać jej uśmiech, ale miałam wrażenie, że wyszła mi tylko jego marna imitacja.

Pomarszczony, już nie młody, lekarz zaprosił mnie do gabinetu. „Wszędzie starzy ludzie” – pomyślałam.

Doktor Brzeziński, jak mniemam, siedział zgarbiony przy komputerze i ani na chwilę nie odrywał wzroku od monitora.

– Więc – zaczął, poruszając agresywnie myszką. – W czym jest problem?

Zawahałam się przez chwilę, czekając na jakiś kontakt wzrokowy. Na cokolwiek co dałoby mi poczucie, że jednak mnie słucha. Moja nadzieja okazała się jednak płonna.

– No więc – wykrztusiłam, łapiąc się kurczowo poręczy krzesła. – Starzeje się.

Lekarz zaśmiał się cicho i po raz pierwszy spojrzał na mnie zza okularów połówek, ukazując figlarne, turkusowe oczy.

– Haha wszyscy się starzejemy – zaśmiał się współczująco rozkładając ręce. – Niestety, taka jest kolej rzeczy, Mija.

– Nie – zaprzeczyłam szybko. – Pan nie rozumie, ja... mam dwadzieścia pięć lat, a czuję się i wyglądam, cóż sam Pan widzi.

Wykonałam znaczący gest rękoma, jednocześnie próbując przypomnieć sobie na powrót, jak się oddycha. Wdech, wydech, wdech, wydech.

– Spokojnie, Mija, spokojnie – lekarz zmarszczył czoło – Powiedz mi wszystko od początku.

Wzięłam głęboki oddech. Wdech, wydech, wdech, wydech. Pamiętaj wdech i wydech. Tak to się robi.

– Ja... – ręce drżały mi niemiłosiernie. – Nie mogę spać, nie mogę jeść, ledwo mogę malować... zawsze malowałam, zawsze odkąd pamiętam.

Lekarz zapisał coś na klawiaturze. Szczęk klawiszy i tykanie zegara były jedynymi słyszalnymi tutaj dźwiękami. Czułam się, jakby ktoś zamknął mnie w szklanej kapsule czasu. Co gorsza jakby zamknął mnie w niej całkiem samą.

– Ja się starzeję, tak niemiłosiernie szybko – powiedziałam dobitnie. – I słyszę te głosy i mam te sny...

– O, Mija...

Nie dałam mężczyźnie skończyć zdania.

– Proszę – wyszeptałam. – Proszę, niech mi pan pomoże.

– Wybacz, Mija – uśmiechnął się zza okularów połówek. – Ale myślę, że niestety nie jestem w stanie.

– Nie jestem szalona – zakrztusiłam się śliną. – Proszę, niech mi pan powie, że nie jestem szalona.

– Mija – lekarz rozłożył znów ręce i wstał z krzesła. – Nie sędzę, żebyś była.

Zerwałam się na równe nogi, złapałam z trudem równowagę i zaczęłam przesuwać się gwałtownie w stronę wyjścia.

– Nie jestem szalona!

– Nie jesteś – zbliżył się do mnie, niebezpiecznie naruszając moją przestrzeń osobistą. – To tylko gwiazdy znów mówią.

Patrzyłam na niego z uchylonymi ustami. „Widzę to w gwiazdach” – powiedział mężczyzna z wizji. „Gwiazdy znów mówią” – powiedział ten podejrzany typ, podający się za lekarza. O co im wszystkim chodziło z tymi gwiazdami?

Wycofałam się tyłem z pomieszczenia. Adrenalina pulsowała w moich żyłach. Zerwałam się do biegu. Byłam jednak słaba i kiedy nie byłam już w stanie zmusić własnego ciała do dalszego wysiłku fizycznego, oparłam się o drewnianą, rozpadającą się ławkę. Kilka drzazg utknęło chyba w mojej dłoni, ale w tym momencie nie byłam w stanie się tym przejmować. Dyszałam ciężko, a świat wokół mnie wirował, jak po paru szotach wódki.

– Nie jestem szalona – powiedziałam cicho, próbując przekonać do tego bardziej samą siebie niż kogokolwiek innego.

Dwie dziewczynki bawiące się w piaskownicy nieopodal rzuciły mi niepewne spojrzenie.

– Nie jesteś szalona – powiedział wiatr. – Po prostu umierasz.

Usiadłam na ławce i złapałam się za serce. Biło szybko, zdecydowanie za szybko.

– Umieram – powiedziałam, nie przejmując się tym, że mówię do siebie w miejscu publicznym. – Albo oszalałam.

„I nie wiem co gorsze” – dopowiedziałam już w myślach. Nagle to wszystko wydało mi się niezwykle zabawne. Zaczęłam śmiać się niczym prawdziwa wariatka. Było mi już wszystko jedno. Byłam wykończona i nie byłam w stanie zebrać myśli w całość.

Spojrzałam przed siebie. Dziewczynki z piaskownicy zniknęły, pewnie ich matki nie chciały swoich dzieci

w pobliżu wariatki. Park był pusty. Towarzyszył mi tylko wiatr rozwiewający jesienne liście. Czerwone, pomarańczowe, żółte. „Jesień to piękna pora na umieranie” – pomyślałam, uśmiechając się lekko, uśmiechem prawdziwej wariatki. Przypomniała mi się piosenka, którą mama śpiewała mi, gdy byłam jeszcze małą dziewczynką.

Jesień idzie, zaraz zima

Niebo płacze, świat przeklina

Ale jeśli tylko pragniesz

Jesień dla siebie zagarniesz

Twoje liście, Twoje zorze, Twoje zamarznięte morze...

„Tak mogę umrzeć jesienią” – pomyślałam. Chciałam się uśmiechnąć, ale nie miałam siły unieść kącików ust. Wzięłam do ręki szkicownik i zaczęłam rysować portret mojej matki. Włosy opadające na ramiona, przyozdobione liśćmi, ciepłe oczy, różowe rumieńce. Widziałam ją oczami wyobraźni. Widziałam wszystkie chwile, które przyszło mi z nią spędzić.

Oderwałam wzrok od kartki. Było zimno, łzy zamarzały na moich policzkach. Otuliłam się mocniej kraciastym płaszczem i spojrzałam przed siebie. Zmusiłam się do wstania z ławki. Szłam chodnikiem, powoli, chwiejąc się na boki. W głowie wciąż słyszałam słowa piosenki.

Śmierć nadejdzie i po ciebie

I zakopie w zimnej glebie

Jesień przyjdzie, potem zima

Weźmie i silnego syna

„Czemu ktoś śpiewałby swojemu dziecku taką piosenkę?” – Zastanowiłam się, potępiając własną matkę. – „A może nie tak to szło?” Było mi zresztą wszystko jedno.

Świat wydawał się być całkiem pusty, dookoła nie było żywej duszy. Przy chodniku stało kilka samochodów



z wyłączonymi światłami i oszronionymi szybami. Szłam powoli, zaciągając się grudniowym powietrzem, niczym drogim cygarem. Krzysztof Linder poczęstował mnie kiedyś takim, kiedy zabrał mnie na piknik nad rzeką. To był piękny majowy poranek, a ja miałam przed sobą wówczas całe życie. W tej chwili wydawało mi się, jakby ten dzień miał miejsce jakieś milion lat temu. „Jeśli rzeczywiście dzisiaj umrę” – pomyślałam. – „To przynajmniej nikt nie będzie mógł mi zarzucić, że nie żyłam.” Oj żyłam. Bywałam szczęśliwa i bywałam smutna, bywałam piękną i bywałam bestią, bywałam świętą i bywałam grzesznicą. Ale żyłam.

Coś zaszeleściło w krzakach po mojej prawej. Zatrzymałam się w pół kroku niczym jakieś dzikie zwierze i wyteżyłam wszystkie zmysły. Były zdecydowanie lekko przytępione, ale przynajmniej były.

Moje serce zaczęło bić w nienaturalnym tempie, wstrzymałam mimowolnie oddech i wyteżyłam wzrok. Nie mogłam w to uwierzyć.

– Aleksander – wrzasnęłam, próbując przekrzyczeć wiatr.

Postać przede mną zatrzymała się gwałtownie i odwróciła głowę. Widok nienaturalnie czarnych oczu wbił mnie w ziemię.

– Kim jesteś? – zapytał mężczyzna, a jego dźwięczny tenor przebił się jakoś przez szum wiatru.

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, ale z moich ust nie wydobyły się żadne słowa. Byłam jak zahipnotyzowana. Jego oczy kradły mi cały świat i zabierały grunt spod nóg, zupełnie jakby były magiczne. Po raz pierwszy zaczęłam wierzyć, że może rzeczywiście nie oszalałam. Może po prostu świat nie był taki prosty, jakim zawsze mi się wydawał.

– Widziałam cię – krzyknęłam łamiącym się głosem. – Widziałam Cię w moich snach.

Dopiero gdy te słowa wyszły z moich ust, zdałam sobie sprawę, że brzmi to jak początek bardzo kiepskiej telenoweli.

– Mówiłeś coś o gwiazdach – dopowiedziałam szybko. – A ten lekarz powiedział, że to wszystko, co się ze mną dzieje, ma z tym związek.

– A co się z tobą dzieje? – zapytał zaskoczony.

– Starzeję się.

– Już jesteś stara – powiedział cicho.

– Co? – zapytałam.

Odwrociłam się w bok i spojrzałam na swoje odbicie w szybie samochodu. Odskokczyłam przerażona. Naprzeciwko mnie stała stara, przykulona kobieta, zmarszczki wieńczyły jej twarz, a długie, rzadkie włosy miały kolor śniegu.

– Pomóż mi! – krzyknęłam do mężczyzny. – Musisz mi pomóc!

– Przepraszam ale nie mogę – powiedział ze smutkiem. – Przykro mi.

Jego oczy nagle wydały mi się dużo łagodniejsze. Nie było w nich chłodu, ani gniewu.

– Ale miałam te sny – wykrztusiłam, łapiąc się kurczowo jego ręki. – Miałam sny o tobie.

Próbował delikatnie strzepnąć moją dłoń, ale nie pozwoliłam mu na to. Uczepiłam się go całą siłą jaka mi jeszcze pozostała. Moje ręce był pomarszczone i pokryte pęcherzami, a całe ciało bolało mnie niemiłosiernie.

– Te sny to musiał być jakiś znak – wyszeptałam. – Znak, że możesz mi pomóc.

– To wszystko jest znak – powiedział, dając mi ostatnią iskrę nadziei, na którą tak bardzo liczyłam. – Ale nie dla ciebie, tylko dla mnie i takich jak ja.

– Nie rozumiem – wyksztusiłam, nieznanym sobie skrzekliwym głosem.

– To apokalipsa – powiedział. – Wiedziałem, że kiedyś nadejdzie, a teraz tu jest.

Rozejrzał się dookoła, a jego oczy na powrót załśniły czernią.

– Ona tu jest, a my nie jesteśmy gotowi – spojrzał na mnie z czymś na wzór współczucia w oczach. – Pozwól mi zakończyć twój ból, bo nikt ani nic nie może cię już uratować.

– Jak? – głos załamał mi się po wypowiedzeniu tego jednego, krótkiego słowa.

Czarnooki wziął moją twarz w swoje dłonie i spojrzał mi prosto w oczy, zabierając mnie w głąb króliczej nory.